Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 2 (436) Rok VIII * Piątek 6 stycznia 1956 r. * Cena 20 gr

Wędrowali PRZEBIERAŃCY przez wieś przez wieś

KOŃCZYŁ się stary rok. Harcerze ze Szkoły Podstawowej w Makowie Mazowieckim postanowili złożyć rodzicom, sąsiadom i znajomym życzenia noworoczne. Sięgnęli do pięknego ludowego zwyczaju, kiedy to od chałupy do chałupy chodzą przebierańcy. Więc i oni przygotowali sobie stroje, nauczyli się różnych żartobliwych wierszyków i przyśpiewek.

Waldek Miłuński przebrał się za Turonia. Był też wśród przebierańców Ptak, który szczycił się dużym, czerwonym dziobem. Najśmieszniej jednak wyglądał Chochoł — bo przypominał zwykły poczochrany pęczek słomy. Nowy Rok, Dziad, Baba, Grajek i Gwiazdor stanowiły resztę postaci osobliwego korowodu.

*

W takim to przebraniu wyszli ze szkoły na szosę. Był ciemny grudniowy wieczór. Krzyku i hałasu było co niemiara. A największej radości. Bo zaraz nadjechał samochód. Przebierańcy postanowili złożyć mu życzenia, tu, na szosie. Więc Nowy Rok dał sygnał latarnią.

— Stój! Zatrzymaj się! — zawołali wszyscy chórem. Samochód na chwilę przyhamował.

Dziad zdążył jednak krzyknąć:

— Niech równo kręcą się twoje koła. Żebyś przechodniom nie świecił prosto w oczy.

Ptak z radości zaklekotał, Turoń krzyknął ze dwa razy, a Chochoł odtańczył wokół Dziada oberka.

Kierowca jeszcze wyjrzał przez okno. — „Cóż to za dziwy?" — zadał sobie pytanie. Uśmiechnął się, nawet kiwnął ręką. Widocznie poznał, że to przebierańcy.

Ruszyli dalej. Gdzieś szczeknął pies, zapewne zwęszył zbliżających się wędrowników. Przebierańcy stanęli przed drzwiami jednego z domów. Harmonista zagrał krakowiaka. A Turoń zaczął przemawiać ludzkim głosem:

— Hej, otwórzcie gospodarze!

Coś wam tu niesiemy w darze.

— Życzenia wam niesiemy — odpowiedział Ptak przeplatając swoje słowa klekotaniem.

Otwarły się drzwi. Powitała ich gospodyni — pani Dziubowa — zapraszając wszystkich do izby. Ale przebierańców prosić nie trzeba. Dziad począł czapką do ziemi się kłaniać i pozdrawiać wszystkie cztery kąty izby. Grajek rozciągnął harmonię. Ptak starał się przemówić ludzkim głosem. Wszystkich przekrzykiwał Nowy Rok, gdyż uważał się tutaj za najważniejszego.

Zaczęły sypać się życzenia:

„Dzieciom — cukierki, babci — sto lat zdrowia, gospodarzowi — niech wyrosną w Nowym Roku tęgie zboża. Niech krowy zamiast mleka dają samą śmietanę".

Gospodyni zaraz przyniosła na talerzu ciastka. Zwróciła się do przebierańców:

— Skoro wy życzenia składacie z całego serca, więc ja was również z całego serca częstuję.

Turoń wyciągnął swoją długą szyję, pomlaskał jęzorem i w końcu przemówił chwytając za ciastko:

— Żyjcie długo i bądźcie szczęśliwi!

Chciał jeszcze coś wykrztusić, ale przerwał mu Grajek, który uciął nowego obertasa. Dziad z Babą dalejże hasać po izbie, aż iskry spod butów bryzgały.

Gospodyni na chwilę przerwała zabawę i powiedziała:

— Piękna to niespodzianka. Bo nie pamiętam, kiedy ostatni raz byli u mnie przebierańcy. A trzeba wam wiedzieć, że kiedy ja byłam młoda, to zawsze rok w rok się przebierałam.

Tu wtrącił swoje trzy grosze Chochoł:

— Jakem snopek! Ja nie jestem przebieraniec — jak wy to, matulu, nazywacie. Urodziłem się snopkiem, jestem snopkiem i umrę snopkiem. — I snopek zakręcił się, by zaprezentować swoje snopkowe oblicze.

Czas było spieszyć się do innych chat, by również i tam ponieść życzenia.

Odwiedzili jeszcze inne domy. Zaglądnęli i do państwa Wyrzykowskich, gdzie w progu witało ich dwoje staruszków. Byli zadowoleni, bo już od dłuższego czasu nie mieli takich miłych gości.

Rozpoczął Turoń. A po złożeniu życzeń pan Wyrzykowski dziękując przebierańcom pogładził Turonia po głowie.

— Żegnajcie! — odpowiedzieli przebierańcy. — Żegnajcie do następnego roku!

Ruszyli przebierańcy w dalszą drogę.

JERZY KOCHANSKI

Fotografował: TADEUSZ ROLKE

Około 100 filmów ma już drużyna ze wsi Piotrków

„Harcerskie Kino" wyświetla bajki w sąsiednich szkołach

Przeczytaliśmy w „Swiecie Młodych", że harcerze z Pabianic mają własne „Harcerskie Kino". My u siebie w Piotrkowie również założyliśmy takie kino. Myślimy, że tego rodzaju kin może powstać wiele, nawet w tych wioskach, które, tak jak nasza, nie posiadają jeszcze elektryczności.

Nasza drużyna zakupiła aparat filmowy za 240 zł. Aparat ten jest przystosowany do prądu zmiennego o napięciu 220 volt. Zakupiliśmy więc trzy akumulatory o napięciu po 2 volty. Akumulatory połączyliśmy szeregowo i w ten sposób uzyskaliśmy napięcie 6 volt. Połączone akumulatory podłączyliśmy bezpośrednio do żarówki aparatu filmowego. Obraz uzyskany na ekranie jest jasny i wyraźny. Nasze „Harcerskie Kino" cieszy się dużym powodzeniem. Filmy oglądają nie tylko dzieci, ale i rodzice.

Nowe filmy kupujemy za pieniądze uzyskane z seansów. Mamy już około 100 filmów. Nasi harcerze odwiedzili z aparatem filmowym sąsiednią szkołę w Piotrkówku i wyświetlili tam kilka bajek. Dzieci z Piotrkówka bardzo się cieszyły, bo widziały film po raz pierwszy w życiu.

Jeśli jakaś drużyna przy zakładaniu swojego kina będzie miała trudności, niech do nas napisze. Chętnie służymy radą.

Drużyna Harcerska
wieś Piotrków
powiat Lublin

Tak postępują harcerze

Miła niespodzianka

Jędrek Sikorski ze wsi Stefanów zawsze stara się pomagać rodzicom. Teraz też chciał zrobić mamie jakąś przyjemność. I oto nadarzyła się okazja — zauważył dziurawy garnek. Postanowił go zalutować.

Dziś akurat mama z ojcem jadą do Szczawina, a on zostaje w domu sam z małą Marysią. Jędrek nie może się doczekać, kiedy rodzice wyjdą. Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, a chłopiec już pędzi po schodach na strych. Wczoraj widział tam jakąś starą kolbę. „Gdyby tylko się udało" — myśli po drodze.

Po chwili już był z powrotem. Zaraz też włożył kolbę do ognia. Podczas gdy się grzała, Jędrek oczyścił garnek wokół miejsca, gdzie zrobiła się dziura, posmarował kwasem solnym i... za chwilę garnek był już zalutowany.

Rodzice wrócili do domu wieczorem. Mama bardzo ucieszyła się z niespodzianki, jaką sprawił jej Jędrek. Gorąco ucałowała syna. (*ib*).

Już DZIŚ!

na stronie 4 rozpoczynamy druk opowiadania EDMUNDA NIZIURSKIEGO pt.

„LIZUS"

KŁOPOTY małego Jeana

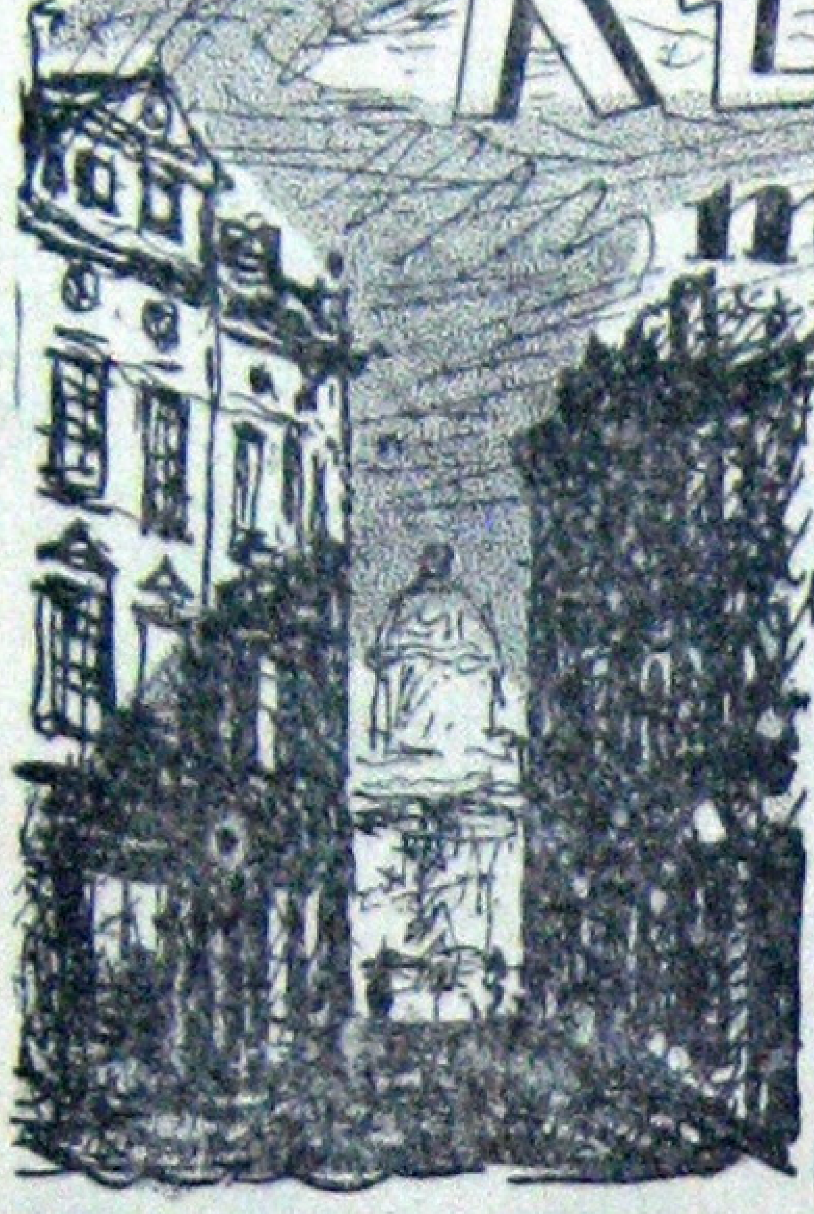

Wąską uliczką przedmieścia Ganshoren w Brukseli szedł szczupły, ciemnowłosy chłopiec. Był jakiś podniecony i uradowany. Ale jednocześnie, rzecz dziwna, w oczach pojawiały mu się łzy. Przyzwyczaił się już do swojej college (szkoły), do belgijskich kolegów, z którymi grywał w piłkę i teraz nie chciało mu się wprost pomieścić w głowie, że już ich więcej nie zobaczy. Wyjeżdża do dalekiego, nieznanego kraju, który jest jego ojczyzną.

— Jean, Jean! — rozległo się tuż za nim wołanie. Dopędzał go kolega z tej samej ławki, Michel Delport. — No co, gramy po obiedzie z czwartakami?

— Nie mogę, naprawdę Michel — i Jean nie żegnając się z przyjacielem pobiegł do domu. Nie powiedział, że wyjeżdża na zawsze. W szkole uważają go za Francuza. Na obczyźnie, jeśli w pobliżu nie mieszka wielu rodaków, nie dobrze się przyznawać do swojego pochodzenia. Obcym trudniej o pracę, o mieszkanie, a nawet o dobry stopień w szkole.

Na morzu

Do kabiny sternika wsunął się nieśmiało Jean — chłopiec z Brukseli

— Chodź, nauczę cię sterować — zawołał sternik.

Chłopiec mocno ujął uchwyty koła sterowego.

— Pół obrotu w prawo — komenderuje marynarz. Ogromny statek, sterowany maleńkimi rączkami Jeana posłusznie skręca.

Ale zapomnieliśmy wyjaśnić! Jean nie nazywa się już teraz Jean. Rodzice, kiedy szukają go na pokładzie, wołają: „Janek"! I to jest właśnie najważniejsza zmiana w życiu Janka. Na statku wszyscy mówią po polsku. Bo jesteśmy na pokładzie transportowca „Elbląg". A Janek — mały polski chłopiec — jedzie z rodzicami do ojczyzny, której nie widział jeszcze nigdy. Podobnie jak jego ojciec urodził się na obczyźnie.

— Oddaj mi ster i popatrz przez lornetkę — mówi do Janka sternik.

— Ojej, chyba nasze — biało-czerwone flagi! — woła chłopiec, obserwując nadpływające statki.

— To „Hel" i „Białystok", zaraz pozdrowimy je syreną.

— A czy na nich także wszyscy mówią po polsku? — pyta Janek i naraz zaczyna być dumny ze swojej nieznanej ojczyzny, która na dalekie morza wysyła takie ogromne, wspaniałe statki.

Powitanie ojczyzny

Późnym wieczorem „Elbląg" przybił do mola portowego w Gdyni. Z górnego pokładu widać było migające tysiącami świateł miasto. Ale grupa, wracających do ojczyzny repatriantów musiała zanocować na statku. Dopiero rano będą załatwione formalności paszportowe.

Mały Janek Rudewicz długo stał na pokładzie. U

jego stóp na molo zaczynała się Polska. I chłopiec nie wytrzymał. Pobiegł do trapu prowadzącego na ląd. Na dole stał żołnierz.

— Proszę mi pozwolić zejść. Jestem repatriantem. Jeszcze nigdy nie byłem w kraju.

— Bez przepustki nie wolno — powiedział żołnierz groźnie — ale... zejdź sobie na polską ziemię — dodał śmiejąc się

Niespodzianka

Następnego dnia Rudewiczowie, po otrzymaniu w punkcie repatriacyjnym bezpłatnych biletów i paru tysięcy złotych zapomogi na urządzenie się, wsiedli do wygodnego wagonu drugiej klasy. Całą noc pociąg mknął na Śląsk.

— Ciekawe czy się babcia ucieszy? I czy mama trafi do domu? — niepokoił się Janek.

— Trafię na pewno — mama dobrze pamiętała mały, walący się domek w Kozach, z którego przed 12 laty zabrali ją na roboty do Niemiec hitlerowscy żandarmi. Ale nie wiedziała, że u nas w Polsce nie trudno o niespodzianki.

— Przyjechaliśmy do Kóz z fasonem, taksówką wynajętą w Bielsku i... rozpacz — nigdzie nie było widać zrujnowanego domku babci, który pamiętała mama. Dopiero pokazali nam ludzie — opowiada Janek. — Babcia mieszkała w nowym domu. A w ogóle mama mówi, że w Kozach strasznie się zmieniło. Założono światło elektryczne, radio. Odremontowano domy i drogę. I tylko babcia pozostała taka sama, wcale się nie postarzała.

Od przyjazdu Janka do kraju, upłynęło parę tygodni. Rozmawiamy z nim w nowym mieszkaniu w Bielsku-Białej, które Rudewiczowie otrzymali od Powiatowej Rady Narodowej.

Chciałbym mieć przyjaciela

— W Kozach miałem dwóch kolegów, Józka i Maniusia, od sąsiadów — zwierza mi się Janek. — Razem chodziliśmy na wycieczki. Dookoła ciągnęły się góry Beskidy. Była nawet kolejka linowa, którą jeździły wagoniki z węglem. Tutaj w Białej też jest bardzo przyjemnie. Tylko nie mam żadnych przyjaciół. Jak chorowałem, to było mi trochę przykro, bo nie miał mnie kto odwiedzić.

— Nie martw się, Janku, jak zaczniesz chodzić do szkoły, to koledzy na pewno się znajdą.

— W tych dniach właśnie wybieram się do szkoły. Bardzo lubię się uczyć. W Belgii miałem na świadectwach same jedynki — to są tam najlepsze stopnie. Nie wiem jednak, czy dam sobie radę w polskiej szkole. Umiem czytać i pisać tylko po francusku. I jak mnie przyjmą nowi koledzy?

*

Rząd Polski wydał specjalną ustawę o pomocy dla repatriantów. Coraz więcej Polaków wraca do kraju. Wygnało ich kiedyś na obczyznę poszukiwanie pracy i chleba. Gdy odjechali, Polska była biedna i zacofana. I teraz po powrocie spotykają ich niespodzianki.

Wraz z rodzicami wracają dzieci. Jedne z nich, tak jak Janek Rudewicz, nie umieją czytać i pisać po polsku. Inne, jak Elżbietka Wrona, którą spotkałem w Pszczynie, nie znają nawet polskiej mowy.

DO harcerzy z Bielska-Białej i innych drużyn

Jeśli do waszej szkoły zawita mały repatriant, przyjmijcie go jak brata. Zastąpcie Jankowi jego wypróbowanego przyjaciela Michela, którego zostawił w Brukseli. Dopomóżcie małej Elżbietce poznać polską mowę. Nie ich to wina, że będą długo jeszcze kaleczyli polskie wyrazy. Ciężkie było życie na obczyźnie. Pomóżcie małym repatriantom włączyć się w radosne życie polskich dzieci.

KAROL WOJTASZCZYK

Ilustr. ANTONI PUCEK

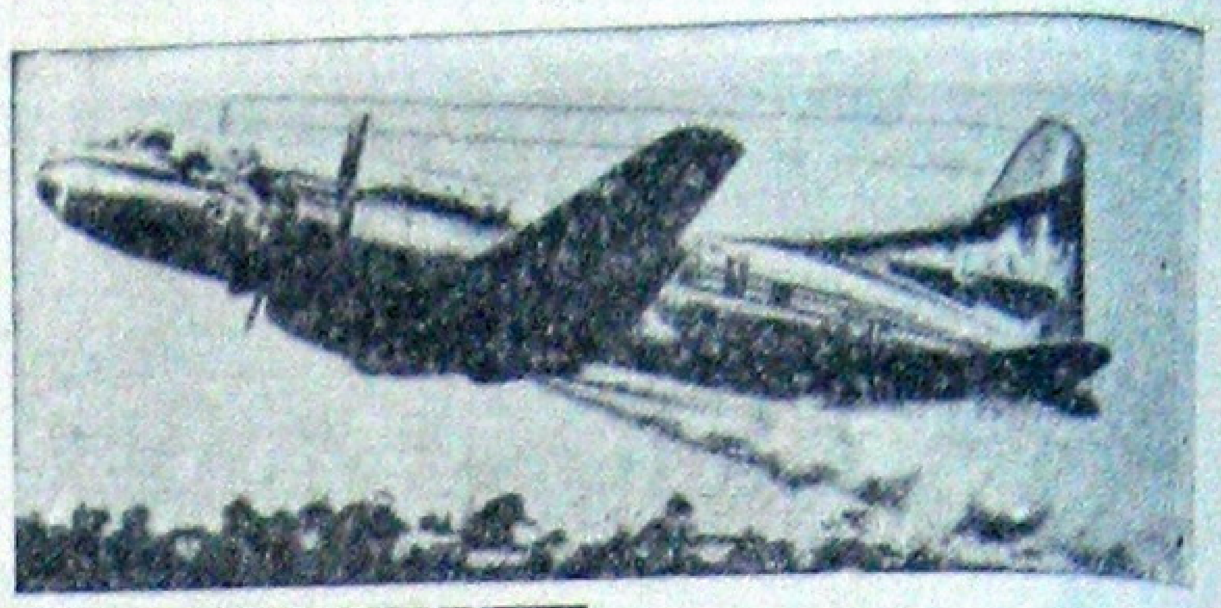

SAMOLOT z rakietowymi starterami

Im wyżej w górę, tym powietrze jest coraz bardziej rozrzedzone. Takie właśnie powietrze znajduje się na wysokogórskich lotniskach Abisynii. Utrudnia ono start samolotów pasażerskich.

Inżynierowie jednak poradzili sobie z tym kłopotem. Zainstalowano na samolotach rakietowe startery, dzięki którym start jest krótki i szybki.

Na zdjęciu: moment startu samolotu pasażerskiego z dodatkowymi urządzeniami na lotnisku Addis-Abeby.

DACH NAD STADIONEM

Może już w niedalekiej przyszłości mecze piłkarskie i inne imprezy urządzane na otwartej przestrzeni, będą mogły odbywać się bez względu na stan pogody. Bo cóż może przeszkadzać deszcz czy nawet śnieg, kiedy cały stadion znajdzie się pod osłoną olbrzymiej pokrywy z plastiku?

Amerykański uczony, prof. Richardson, wpadł na pomysł, że podwójna płachta z przezroczystego plastiku wypełniona wewnątrz lżejszym od powietrza gazem, może sama, bez żadnej podpory, zawisnąć w górze. Trzeba by tylko zamocować jej końce, a napięta jak balon powłoka utworzy kopułę stadionu. Świeże powietrze przedostawać się będzie z zewnątrz — poprzez prześwity dolnych zamocowań, a zużyte — wydostanie się górnymi klapami wentylacyjnymi.

Możliwe, że takie kopuły da się również zastosować w przyszłości zamiast dachów budynków mieszkalnych. Zaszłyby wtedy wielkie zmiany w całym budownictwie, gdyż zamiast grubych murów utrzymujących strop, można by stawiać cienkie i lekkie ściany.

W IRLANDII ZNIKNĘŁO NAGLE JEZIORO

Pomiędzy miejscowościami Athlone a Roscommen w Irlandii do niedawna jeszcze znajdowało się jezioro o powierzchni prawie 900 hektarów. Ale ku nieopisanemu zdumieniu okolicznych mieszkańców jezioro nagle zniknęło. Jak kamfora ulotniła się gdzieś woda. Towarzyszył temu wydarzeniu olbrzymi huk podobny do uderzenia piorunu. Jak się później okazało, woda jeziora wpadła w głąb ziemi przez szeroką szczelinę, która powstała w czasie wstrząsu.

Podobne zjawisko obserwowali już mieszkańcy przed paru laty. Wtedy jednak woda z powrotem wypełniła jezioro.

Po obecnym zniknięciu wody okoliczni mieszkańcy zebrali tysiące ryb z dna osuszonego jeziora.

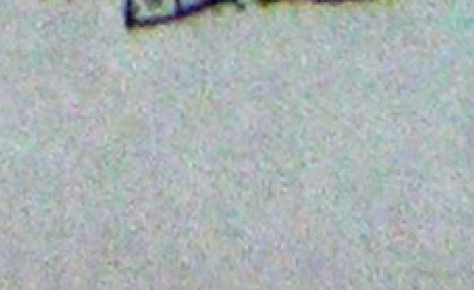

Pytała nas babka, -a gdzie to jedziecie

Trzystu pięćdziesięciu harcerzy-korespondentów i czytelników przybyło tego dnia na Zlot.

Z Bochni i Zakopanego, Nowego Targu i Myślenic, Limanowej, Żywca, Olkusza — któż to zresztą wszystkie powiaty wyliczy — przyjeżdżały pociągi do Krakowa, przywożąc wciąż nowych uczestników na I Wojewódzki Zlot „Świata Młodych".

Ta grudniowa niedziela zapowiadała się wspaniale.

O tym, jak było na Zlocie, co przyniósł harcerzom ten wielki dzień — o przygodach w kopalni, spotkaniu z Kubusiem, Karolinką i redaktorem Skrzydełko, o konkursie i nagrodach opowiemy Wam dzisiaj.

Posłuchajcie...

Jedziemy NA ZJAZD z piosenką

Pytała nas babka,
— a gdzie to jedziecie?
A my do niej z dumą:
— do Krakowa przecie.

Zjazd Korespondentów
tam dziś urządzono
i nas telefonem
pięknie zaproszono.

Pociągiem od Bochni
od rana jedziemy,
ciekawi okropnie,
z kim gadać będziemy.

Przyjedzie redakcja
na ten Zjazd w Krakowie,
pewnie coś nowego
wszystkim nam opowie!

No i już na miejscu
jesteśmy w Krakowie,
to dla nas uciecha
radość, co się zowie.

Na koniec: „Niech żyje
„Świat Młodych"! — krzykniemy,
a w Siedlcu o Zjeździe
w drużynie powiemy!

napisały:
Marysia Korbutówna
i Basia Samkówna
Siedlec
pow. Bochnia

KORESPONDENT musi być ODWAŻNY!

Przekonała się o tym grupa korespondentek, która wybrała się do Akademii Górniczej. Oprowadzani przez jednego z profesorów weszliśmy do sali zapełnionej maszynami.

— Obejrzymy je później — powiedział profesor i po spadzistym chodniku poprowadził nas w dół, ku potężnym, żelaznym drzwiom. Po ich przekroczeniu znaleźliśmy się... tak, naprawdę, w kopalni węgla. Przed nami gdzieś daleko ciągnął się kopalniany chodnik podpierany drewnianymi stemplami. Dookoła połyskiwały bryły węgla.

— To model zbudowany dla celów naukowych. Ale wszystko urządzone jest tutaj, jak w prawdziwej kopalni. Nawet ściany, widzicie, są z węgla — profesor chwycił w rękę jakiś przyrząd podobny do ogromnego świdra i naraz w kopalni rozległ się ogłuszający huk.

Dziewczęta rozbiegły się na wszystkie strony.

— A co to za tchórze? — zdziwił się profesor. — Korespondent gazety musi być odważny. Powinien wszystko dobrze poznać. Dopiero wtedy może napisać dobrą korespondencję. No, która z was chce popracować elektryczną wiertarką? To wcale nie trudne.

W chodniku kopalnianym zapadła cisza. Zdawało się, że już nic nie uratuje nadwyrężonego honoru harcerskich korespondentek, gdy nagle do profesora zbliżyła się szczupła wysoka dziewczynka.

— Ja spróbuję — powiedziała Lidka Dobrzańska z Dąbrowy Tarnowskiej i trochę drżącymi rękami chwyciła wiertarkę.

Gdy teraz rozległ się huk elektrycznego świdra, dziewczęta pozostały na miejscu. Ale los jakby się uwziął, żeby je wystawić na nową próbę. W kopalni nagle zgasło światło.

— Uhuuu! — w sąsiednim chodniku rozległ się tajemniczy jęk.

Dziewczęta chwytały się po ciemku za ręce. — „Duch skarbnika, porywa ludzi w kopalniach" — szepnęła któraś.

Światło zapaliło się równie niespodzianie, jak zgasło. I okazało się, że to nie żaden duch, tylko figiel chłopców, którzy nadeszli oprowadzeni przez innego profesora.

A widzicie, że kopalnia nie taka straszna — śmiał się sympatyczny profesor, „górnik" — jak go nazwały dziewczęta. — Teraz pokażę wam jeszcze różne ciekawe maszyny — dodał.

— Nigdy nie zapomnę tego dnia — opowiadał później Staszek Tomera. — Sam kierowałem ładowarką i kombajnem, a najodważniejsza z dziewczynek Lidka przejechała nawet z 50 metrów na taśmowym transporterze. Praca w kopalni jest bardzo ciekawa.

Z notatnika Kubusia zwiadowcy

— Zanim wszedłem na salę, o mało się nie przewróciłem, tak mocno pociągnął mnie ktoś za plecak.

Oczywiście, była to Karolinka z redaktorem Skrzydełko. Byli zmęczeni i bardzo szybko mówili: „Przybywamy tu prosto z ptasiego sejmu z Gilogrodu. Musimy koniecznie opowiedzieć korespondentom o „Harcerskiej Zimie" i naszej skrzydlatej braci".

Po krótkiej naradzie weszliśmy razem na salę.

*

Rysio Grzanka (zastępowy z Żywca) chodzi z notesem i na

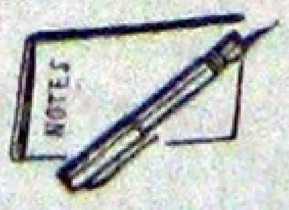

gorąco robi zapiski. Zwierzył mi się, że ma opowiedzieć kolegom o Zjeździe na apelu szkolnym. Koledzy zaopatrzyli go w notes i wieczne pióro.

*

Już po otwarciu Zjazdu, z grupą miłośników książki zwiedzam Bibliotekę Jagiellońską.

— Lubisz czytać książki? — pytam harcerza z zadrapanym nosem.

— Bardzo.

— A która ci się najbardziej podoba?

— „Potop"!

I Franek Chudysz zaczyna mi opowiadać o Kmicicu.. jak on tę armatę Szwedem wysadził! — Franek przyjechał z Krynicy. Jest w szóstej klasie. Tak się spieszył na pociąg do Krakowa, że wpadł na drzewo i rozbił sobie nos.

*

Jest wspaniały bal. Wszyscy w kolorowych strojach ludowych. Doprawdy, szkoda przerywać za-

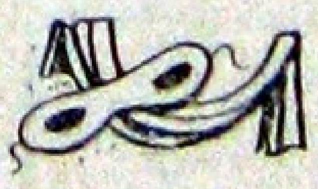

bawę. Ale muszę. Mam porozmawiać o „Harcerskiej Zimie". I najważniejsze: przywiozłem na Zlot najnowszy numer „Świata Młodych". Dopiero się wszyscy ucieszą.

*

Ledwo ocaliłem życie. Jak się harcerze rzucili na mnie po najnowszy numer, to w jednej sekundzie zostałem z pustym plecakiem. Jeszcze było mało. Na szczęście Karolinka miała w zapasie kilkanaście numerów.

*

Harcerze stoją z zadartymi głowami.

Co to może być? Z ogromnego koła, zawieszonego u sufitu zjeżdża wielka bombonierа dla zdobywców pierwszej nagrody w konkursie na najlepszy taniec ludowy.

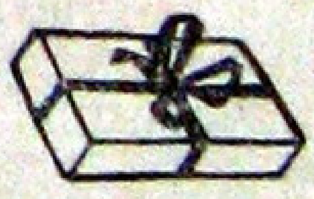

Zdobywcami jej są:
Kazia Leśniak,
Wojtek Kowalik,
Leszek Ziembowicz.

*

Zbyszek Sikora płacze. Płakać podczas takiej wspaniałej zabawy?!

— Dlaczego Zbyszku płaczesz?

Zbyszek nie chce powiedzieć. Dowiedziałem się od innych, że Zbyszek pomylił się w czasie

konkursowego tańca na balu. I nie może sobie tego darować.

*

Idziemy na dworzec. Po drodze spotykam grupę harcerzy.

— Do widzenia, Kubusiu! Będziemy do ciebie pisać.

— Drodzy przyjaciele, czekam na spełnienie obietnicy!

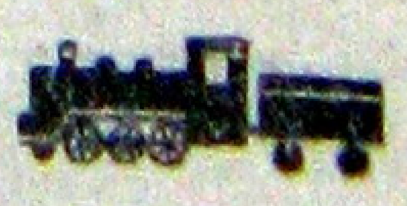

EDMUND NIZIURSKI

Ilustr. JAN ROCKI

Lizus 1)

KIEDY w ten nudny pochmurny dzień marcowy nasz wychowawca pan Żwaczek przyprowadził do klasy nowego ucznia, zdziwiliśmy się niesamowicie. O tej porze, n o w y? To była prawdziwa sensacja. Owszem, zdarza się czasem, że do klasy we wrześniu, a nawet jeszcze w październiku przybywają nowi. Ci, którzy zostali przeniesieni z innych szkół. Ale na początku roku szkolnego nie robi to takiego wrażenia. Na początku roku wszystko jest jeszcze płynne i nieustalone. Szkoła przypomina wielki rojący się ul, gdzie jakiś nowy truteń niewiele znaczy. Taki n o w y dostarcza klasie rozrywki na jeden dzień. Robi mu się jakiś kawał, zaczepia na przerwie, naciąga na zwierzenia, przez jeden dzień służy za cel dowcipów i złośliwości klasy, a potem daje się spokój. No, bo co można zrobić więcej z takim n o w y m?

Już wszystko się przecież o nim wie. Skąd przybył i dlaczego, gdzie mieszka, kim jest jego ojciec. Przylepia się ofierze nową etykietę: „Łajza", albo „chłop w dechę", „lizus", albo „morowy". Słusznie czy niesłusznie, o to mniejsza. Kto by tam się bawił

w skrupuły. I biedak zanim się spostrzeże jest już obmówiony, osądzony i zakwalifikowany. Pogrąża się w odmętach klasy i staje się jednym z czterdziestu rozbójników, jak pan Żwaczek nazywa klasę. Przechodzi się nad nim do porządku dziennego, zapomina. Czasem tylko jeszcze, któryś z nauczycieli napotkawszy w dzienniku nowe nazwisko zatrzyma się i potoczy okiem po klasie.

— Któż to taki?

N o w y wstaje wtedy zawstydzony, bo jak wiadomo nikomu nie jest przyjemnie, że jest n o w y m.

— A, to ty — pokiwa głową nauczyciel jakby zawiedziony, że zamiast geniusza zobaczył jeszcze jedno wystraszone chłopaczysko i zabiera się z westchnieniem do lekcji.

Z tym Rudolfem Cejną było zupełnie inaczej. Od początku czuliśmy, że coś z nim jest nie w porządku. Tak, można było od razu poznać, że Cejna to nie zwyczajny n o w y. Pamiętam dobrze, jak się odbyło jego wprowadzenie do klasy. Czekaliśmy właśnie na lekcję polskiego, było już kwadrans po dzwonku, a Żwaczek nie przychodził. Wtem otworzyły się drzwi i zobaczyliśmy najpierw wysoki stos zeszytów, a nad nim rudą czupryne wijącą się jak język ognia. Do klasy weszło wielkie chłopaczysko w gumowych buciorach i granatowym roboczym kombinezonie, a za nim tajemniczo uśmiechnięty pan Żwaczek. Powiało zapachem wędzonych ryb. Oczywiście zapach ten nie mógł pochodzić od pana Żwaczka tylko od tej dziwnej istoty, która przyniosła nam zeszyty z poprawioną klasówką.

W klasie ucichła wrzawa. Pociągaliśmy nosami i patrzyliśmy zaskoczeni.

Intruz położył zeszyty na katedrze i stanął w swobodnym rozkroku, bez śladu żadnej tremy, gapiąc się z jawną wyższością na klasę i uśmiechając się nieco szyderczo. Nie przypominał zupełnie n o w e g o. Jeśli już do kogoś miał być podobny to raczej do wytrawnego zawodnika patrzącego na nieznaną publiczność. Brakowało tylko, żeby podniósł rękę i pozdrowił nas łaskawie.

Było to wszystko drażniące, a nawet obraźliwe, no bo jak można tak bezczelnie przyglądać się klasie, kiedy się jest n o w y m i kiedy w dodatku ma się tak bezwstydnie piegowatą gębę i zalatuje się wędzarnią.

Oczy wszystkich zwróciły się na pana Żwaczka, jakby żądając od niego bliższych wyjaśnień. Ale pan Żwaczek powiedział tylko:

— Do waszej klasy będzie chodził nowy geniusz. Nazywa się Rudolf Cejna.

Nic więcej, tylko tyle.

Po czym rozejrzał się, gdzieby posadzić tego Cejnę. Wzrok jego spoczął na pierwszej ławce. Od stycznia pokutował tam Kurta przeniesiony karnie za podpowiadanie i inne ciężkie przestępstwa klasowe.

— Kurta, wracaj na swoje miejsce! — powiedział Żwaczek. — A ty, Cejna, zajmij miejsce Kurty.

Przez całą lekcję przyglądaliśmy się temu Rudolfowi Cejnie. Wszystko w nim wydawało nam się dziwne. Już samo imię brzęczało niezwykle w naszej klasie, pełnej Andrzejów, Jurków i Stasiów. A do tego ten wygląd, te gumowe buty, to ubranie i zapach. Skąd przybył i dlaczego, tak bardzo opóźniony, w drugiej połowie roku?

Zaraz po przerwie otoczyliśmy go ciekawym kręgiem i macaliśmy szyderczymi spojrzeniami, a Kurta podszedł do niego i zapytał od razu ze złośliwym uśmieszkiem.

— Przepraszam, czy kolega przypadkiem nie z wędzarni?

Ale n o w y nie zmieszał się bynajmniej.

— Tak, to ubranie z wędzarni.

— Czy kolega ryby wędził?

— Wędziłem. — odpowiedział po prostu.

— Nad morzem?

— Nad morzem.

— To dziwne, że kolega do nas przybywa.

— Dlaczego dziwne?

— No, bo kto przychodzi do klasy o tej porze roku?

— Czasem i tak bywa.

— Ojca koledze do Warszawy przenieśli?

— Nie mam ojca.

Kurta zmieszał się trochę.

— A gdzie kolega mieszka?

— Nie wiem jeszcze, gdzie będę mieszkał.

I taka z nim była rozmowa. Nie dało go się speszyć. Nie dostarczał żeru do kpin. Rozmowa z nim schodziła od razu na poważne tory, stawała się nudna i zwyczajna.

Ale powściągliwość Cejny jeszcze bardziej podniecila naszą ciekawość. Wszyscy byliśmy zgodni, że ten n o w y jest dziwny.

Daremnie próbowaliśmy go na wszelkie sposoby zagadywać. Nic nie udało się z niego wyciągnąć.

Dopiero następna lekcja rzuciła pewne światło na Cejnę.

(ciąg dalszy nastąpi)

SPRÓBUJ rozwiązać

ŁAMIGŁÓWKA

S	I	D	Ł	O
	C		E	
e	SK	i	MO	s
	I		V	
	L		N	
N	E	R	O	n
	R		N	
	L		E	
	Ó		K	
	G		P	
	I		D	
	E		I	
	W		C	
Ł	Y	S	E	K

Do rzędów poziomych należy wpisać brakujące litery, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko pisarki polskiej oraz tytuł jej książki o wyprawie polarnej.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Nazwisko polskiego mistrza w rzucie oszczepem
2. Miasto nad Wisłą
3. Mieszkaniec dalekiej Północy
4. Nauczyciel jednego z przedmiotów szkolnych
5. Imię żeńskie
6. Imię cesarza rzymskiego
7. Imię żeńskie
8. Kraj w Afryce
9. Ptak, który u nas zimuje, chociaż się stale „wybiera za morze"
10. Państwo w Afryce
11. Napój staropolski (w drugim przypadku liczby pojedynczej)
12. Stolica Chińskiej Republiki Ludowej
13. Jabłka, gruszki...
14. Koń, bohater jednego z opowiadań Gustawa Morcinka.

Rozwiązania należy przysyłać na osobnych kartkach w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru.

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

TEATR „OGNIWA" „PAZUREK"

Wystawia sztukę p.t.

„Dzwonek"

ELA:

Dzisiaj postanowiłam sobie,
że elektryczny dzwonek zrobię.
Koledzy pewnie mi pomogą,
poproszę zaraz... tylko kogo?
(wchodzi Bronek)
O, idzie Bronek! Słuchaj Bronek,
chcę zrobić elektryczny dzwonek...

BRONEK:

Ty — dzwonek? Nie słyszałem, aby
dzwonek zmajstrować mogły baby.
(do widowni)
Dziewczyna wszędzie nos swój wścibi,
czyż nie ma na nie już lekarstwa?...
(do Eli)
Weź się do igły i naparstka,
a dzwonek sobie z głowy wybij!
Po co się łapiesz za rzecz obcą
dziewczynom. Zostaw to nam, chłopcom!
(wchodzi Janusz)

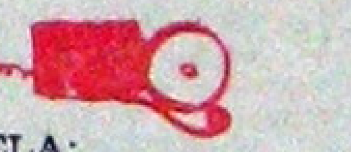

ELA:

Dziękuję ci za radę. A nuż,
pomoże mi w robocie Janusz?
(do Janusza)
Czy wiesz, postanowiłam sobie,
że elektryczny dzwonek zrobię.
Czy możesz mi, Januszku, pomóc?

JANUSZ:

Przy dzwonku? Pomóc? Miałbym komu!
Ja bym pomagać miał dziewusze?
Jestem mężczyzna, a nie frajer,
więc szczerze ci powiedzieć muszę,
że się z babami nie zadaję.

ELA:

Cóż, nie chce z was mi pomóc żaden
to sama sobie dam z tym radę!
A was wzywam moi mili,
abyście dzwonek też zrobili!
I zobaczymy, kto z nas prędzej...
No, czas mi do roboty. Pędzę!
(wybiega)

BRONEK:

A to ci heca.

JANUSZ: (szeptem)

Słuchaj Bronek,
Czy ty potrafisz zrobić dzwonek?

BRONEK:

Ja... zrobić dzwonek? Czysta mrzonka...

JANUSZ i BRONEK: (jednocześnie)

Ja nie potrafię zrobić dzwonka!...

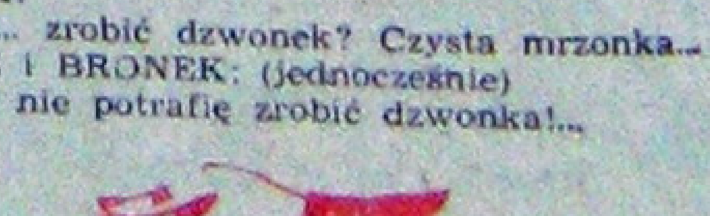

JÓZEF WACZKÓW

WYDAJE: Zarząd Główny ZMP. REDAGUJE: Zespół — Warszawa, ul. Mokotowska 24, telefon 8-25-46, 8-77-21. ADMINISTRACJA: RSW „Prasa" III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 3, tel. 86-711, 82-462. KOLPORTAŻ: Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Przedsiębiorstwo Państwowe, W-wa, ul. Srebrna 12. PRENUMERATA: roczna — 4.80. Prenumeratę należy zamawiać u listonosza lub w urzędzie pocztowym tego rejonu, na terenie którego mieszkacie. Wpłat należy dokonywać do dnia 10 każdego miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty. DRUK: Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Nakład RSW „Prasa".
Zam. 2943. B-7-20237